

STRONA **PIERWSZA**

PUNKT ŹRÓDŁOWY DARMOWOŚCI

ks. Julián Carrón

Notatki ze Spotkania Stowarzyszenia „Famiglie per l'Accoglienza”
Mediolan, 19 maja 2012

Teksty ks. Luigiego Giussaniego i ks. Juliána Carróna © Bractwo Comunione e Liberazione

Ks. JULIÁN CARRÓN

**Notatki ze Spotkania Stowarzyszenia „Famiglie per l'Accoglienza”
Mediolan, 19 maja 2012**

Marco Mazzi. Drodzy przyjaciele, oto znaleźliśmy się w tak bardzo ważnym momencie naszej historii. Właśnie 18 maja 1982 roku tutaj w Mediolanie zostało założone Stowarzyszenie „Famiglie per l'Accoglienza” (Rodzin Zastępczych). 30 lat to spory szmat drogi, setki gestów, historii, przygarniętych osób oraz świadków, usiłowań, cierpień i cudów. Nasze oczy są pełne faktów, w których darmowość i gościna dały oparcie nawróceniu na to, do czego zostaliśmy wezwani również ostatnio – do przeżywania wiary jako doświadczenia.

Dziękujemy przede wszystkim księdzu Juliánowi Carrónowi za jego obecność. To w sercu księdza Giussaniego zrodziła się ta historia i pod jego ojcowską opieką pogłębiała świadomość swojej wartości, wędrowała, a teraz, przynależąc do charyzmatu Ruchu oraz podążając za tym, kto go prowadzi, nasi ludzie wciąż znajdują siłę i światło. Dlatego dzisiejszy dzień jest momentem porównania, przynoszącym możliwość dokonania korekty i rozpoczęcia na nowo.

Wypowiedź. Wychowałam się w rodzinie zastępczej. Po okresie spędzonym wraz z moim bratem w rodzinie zastępczej, po kłótniach i chaosie związanym z rodzicami zastępczymi oraz opiekunami społecznymi, w wieku 18 lat otrzymuję pozwolenie na powrót do mojej mamy. Wydawało mi się, że u niej wreszcie wolno mi będzie robić to, na co mam ochotę. Po upływie kilku lat coś jednak jest nie tak: jestem pozostawiona sama sobie i zagubiona, nie chcę rozmawiać z innymi, płaczę i zadaję sobie pytanie: czy ktoś tam, w górze, mnie słyszy? Gdy miałam 22 lata, moi rodzice zastępczy proponują mi udział w filmie, w którym miałam opowiedzieć o doświadczeniu bycia w rodzinie zastępczej. Przed kamerami płakałam. Reżyser i moja rodzina zastępcza zadawali mi tysiące pytań: „Jaki jest twój dom? Co jest dla ciebie punktem odniesienia, punktem, z którego czujesz dobro?”. Co za nudziarz z tego reżysera! Ja jestem dla siebie domem, nie potrzebuję innych. Po upływie około roku film zostaje zmontowany i wyemitowany. Po filmie głosiłam świadectwa w różnych miejscach i tam naprawdę poznałam oblicze Famiglie per l'Accoglienza. Wiele osób mówiło mi, jaka jestem dzielna, tak naprawdę jednak to ja uczyłam się od nich.

Od tamtego czasu moje życie bardzo się zmieniło, powoli nadrabiałam zaległości w całej mojej historii. Wróciłam do domu, do moich rodziców zastępczych. W moim pokoju jest mnóstwo książek księdza Giussaniego, między innymi *Il miracolo dell'ospitalità* (Cud gościnności, Piemme, Milano). Wcześniej w ogóle nie znałam ruchu Comunione e Liberazione, ta książka wzbudziła jednak moje zainteresowanie, przede wszystkim dlatego, że chciałam się dowiedzieć, co poruszyło moich rodziców zastępczych oraz spotkane przeze mnie osoby z Famiglie per l'Accoglienza. Kiedy przeczytałam książkę, wydawała się ona wykraczać poza mój sposób rozumowania, ponieważ ja nie potrafiłabym być tak gościnnie, oderwać się od rezultatu moich działań, być tak wolna. Dlatego gdy ją przeczytałam, wzru-

szyłam się. Tymczasem głoszę świadectwa we Włoszech i zagranicą; dużo się uczę od osób, które mnie przyjmują i zadają pytania, uczę się innego stylu życia: jestem spragniona człowieczeństwa oraz rozumienia, co je porusza i czyni tak szczęśliwymi oraz uśmiechniętymi. Proszę rodziny zastępcze, by opowiedziały mi o swoim doświadczeniu. Dzisiaj wciąż jeszcze pamiętam je wszystkie, nie pamiętam ich imion, ale uśmiechy i ich poruszające historie.

Wreszcie zaufałam światu, jest ktoś, kto zaspokaja moją bezwzględną potrzebę zaufania, inaczej spoglądam również na swoją własną historię. Pojechałam nawet do odległego Wilna, gdzie ludzie są tak od nas różni. Nie wiedziałam, co powinnam powiedzieć. Poszłam tam także na mszę św.:

po latach gniewu i zamknięcia w sobie byłam zaciekawiona i chciałam współdzielić również ten moment z moimi nowymi przyjaciółmi z Litwy. Tłumaczyli mi, że to jest święto przyjęcia, podczas którego Jezus zawiera Maryi Jana. W listopadzie ubiegłego roku zostałam poproszona o wygłoszenie świadectwa podczas krajowego seminarium Famiglie per l'Accoglienza. Chciałabym, by wszyscy poznali dobro, które otrzymałam, by móc je z nimi współdzielić. Popychana tym pragnieniem zadaję pytanie, które szczególnie leży mi na sercu: jak można szerzyć i przekazywać to dobro?

Ks. Julián Carrón. Gdybyś spojrzała na swoje doświadczenie, jak odpowiedziałabyś na pytanie,

**Jeśli my
nie postrzegamy
drugiego jako dobra,
wówczas bronimy się
przed drugim;
by jednak postrzegać
go jako dobro,
nie wystarczy sobie
tego postanowić
(...). Tym, co pomaga
nam uznać drugiego
za dobro, jest po prostu
świadomość naszej
potrzeby”.**



Jean-François Millet, *Pierwsze kroki*, 1858. Cleveland, Muzeum Sztuki

które zadajesz? Jak ty przekazujesz to dobro, które otrzymałaś?

Wypowiedź. Zadałam to pytanie na wspomnianym seminarium i jeden z przyjaciół odpowiedział mi: „Potrzeba spotkań, świadectw; choćby tylko małych kroków”. Gdy tylko skończyłam mówić, ustawiła się kolejka ludzi, którzy prosili mnie o numer telefonu, nazwisko, bym wygłosiła świadectwo, nawet jeśli ja tak naprawdę nikogo nie przygarnełam.

Ks. Carrón. Jeśli patrzemy na to, co opowiadamy o naszym doświadczeniu i o tym, co wydarza się w nas, natychmiast rozpoznajemy drogę. Powiedziałaś, że nie pamiętasz imion osób, ale pamiętasz ich uśmiech. W ich uśmiechu rozpoznałaś wszystko, ich świadectwo zostało ci przekazane w bardzo prosty sposób, bardzo łatwy do pojęcia w każdym położeniu, w każdej kulturze, w każdej sytuacji człowieka, ponieważ uśmiech jest pierwszym sposobem komunikowania doświadczenia, dlatego cię zafascynował.

A więc jak komunikuje się to doświadczenie? Jak uczył nas ksiądz Giussani – treść i metoda są ze sobą zbieżne. Nie było tak, że najpierw coś ci

wy tłumaczono, a potem się do ciebie uśmiechnięto; nie treść z jednej strony, a potem gest z drugiej. W samych goście uśmiechu, który jest tym, co zostało ci w pamięci i co cię ukształtowało, zostało ci coś zakomunikowane. W ten sposób teraz ty to komunikujesz. Nie trzeba robić nic innego, jak tylko dalej żyć doświadczeniem, w którym całe życie, twoje istnienie komunikuje się za pośrednictwem tego, czym jesteś. To, jak przeżywasz rzeczywistość, jak budzisz się rano, jak stawiasz czoła relacji z osobami, komunikuje się za pośrednictwem twojego uśmiechu. Jeśli się nie uśmiechasz, nawet jeśli opowiadasz o czymś bardzo pięknym, nie będzie to ciekawe, ani dla ciebie, ani dla innych, tak jak bez uśmiechu nie byłoby ciekawe to, co usłyszałaś.

Wypowiedź. Od 30 lat ja również uczestniczę w tej historii, i z pewnością uderzona jej świeżością, myślę, że również w historii naszej oraz mojej osobistej odnawia się teraz ta sama świeżość. W istocie, jestem zafascynowana życiem moim oraz moich przyjaciół, a w ostatnich latach pracowaliśmy powodowani pasją, która nas poruszyła. Myślę, że tym, co najbardziej nas łączy, jest spotkanie z osobami poruszonymi – ja jestem poruszona >>



Jean-François Millet, *Wieśniak szczepiący drzewo*, 1855. Monako, Pinakoteka Nowa, Bawarskie Państwowe Kolekcje Malarstwa

» w pierwszej kolejności – pragnieniem przyjęcia (albo ze względu na nadobfitość, ponieważ ktoś daje tak wiele, albo ze względu na cierpienie, ponieważ ktoś tak wiele oczekuje). Zawsze zadawaliśmy sobie pytanie, zawsze stawaliśmy wobec tego pytania. Czasem z pokusą zastąpienia tego pytania, odpowiedzi na to pytanie za pośrednictwem nabytych kompetencji, za pośrednictwem jakiegoś naszego uzdolnienia. Kim jednak jestem, by odpowiadać na pytanie innych? Rzeczywistość, do której nas wychowałeś, do której wychował nas ksiądz Giussani, na szczęście zawsze pozwala nam zająć właściwe stanowisko. Ponieważ jasne jest, że Stowarzyszenie nie powstało po to, by zastąpić pytanie, ale po to, by wspierać i towarzyszyć w tym życiowym wyzwaniu. Dlatego właśnie jest fascynujące.

Poprzez to, czego doświadczyliśmy, zobaczyliśmy także, że bardzo wiele osób, wychodząc od prawdziwej prośby o przyjęcie dziecka, dochodzi do bardziej

zasadniczego pytania, spotyka doświadczenie wiary, i to jest inna wspaniała rzecz, pocieszająca, ponieważ pytanie jest głębsze niż to, co widzę, i razem pomagamy sobie, by na nie odpowiedzieć. Właśnie dlatego jednak, że jesteśmy poważnymi ludźmi, nie możemy nie pracować nad danymi rzeczywistości, nad specyfiką przyjęcia, i w oparciu o to rozwinęło się Stowarzyszenie, bardzo się rozwinęło; nasza praca nabrała właśnie impetu oraz zyskała głębię. To ta sama powaga, z jaką przeżywam moją pracę lekarza, matki, babci... Jest tak samo ważna i przyjmuje tę samą postać. Jak mówiłeś w Pacengo: dzieło jest dziełem, nie jest zabawą. Istnieje w nas niebezpieczeństwo redukcji, polegającego na samowystarczalności, i to jest pierwsza kwestia. Drugą jest właśnie przynależność, w tym sensie: ja albo przynależę, albo wystarczam sobie, przynależę albo z trudem przychodzi mi bycie z tymi, z którymi muszę współdzielić drogę. Co pomaga nam odnawiać

świadomość przynależenia, które nie wykluczałoby odpowiedzialności i wolności?

Ks. Carrón. Lojalność wobec swojego „ja”, ponieważ Tajemnica stworzyła nas tak doskonale, że ktoś, o czym świadczy pierwsze wystąpienie, może odejść z domu, znajduje jednak w swoim doświadczeniu coś, co mu nie wystarcza. We wszelkim ludzkim usiłowaniu celem tego wszystkiego, co usiłujemy robić, jest – jak mówi nam ksiądz Giussani – odpowiedzenie naszemu zmysłowi religijnemu, naszej potrzebie. Nieuniknione usiłujemy odpowiedzieć na tę potrzebę, równie nieuniknione jest jednak to, że próbując na nią odpowiedzieć, zauważamy wyraźnie, że nasze usiłowanie nam wystarcza albo nie wystarcza. To jest nieuniknione, nie musimy niczego dodawać. Nasza przyjaciółka spróbowała po prostu żyć poza domem, ponieważ myślała, że ta próba bardziej zaspokoi jej potrzebę. Zaraz jednak wydała osąd: czuła się zagubiona. Nie potrzeba specjalnej genialności, ale po prostu tej lojalności; każdy z nas może to rozpoznać w każdym usiłowaniu, jakie podejmuje. A wtedy, co takiego pomaga nam nie ulec temu zadowalaniu się? Patrzenie na przynależność nie jako na coś, przed czym trzeba się bronić, ale jako na dobro, dobro! Jeśli my nie postrzegamy drugiego jako dobra, wówczas bronimy się przed drugim; by jednak postrzeżać go jako dobro, nie wystarczy sobie tego postanowić („Teraz muszę przekonać siebie, że on jest dobrem”). Tym, co pomaga nam uznać drugiego za dobro, jest po prostu świadomość naszej potrzeby, ponieważ każde inne usiłowanie, jakie podejmujemy, nie odpowiada całej naszej potrzebie. Tak jak w jej przypadku: nikt jej nie zlinczował, nie odbyła pokuty, nie; po prostu w pewnym momencie uznała, że bardziej opłaca jej się wrócić do domu niż robić po swojemu. Tak jak syn marnotrawny. Nikt nie musiał używać wobec niego przemocy; po prostu z wnętrza własnego doświadczenia rodzi się – jeśli jest się lojalnym – tak potężna potrzeba, że wraca się do domu. To pozwala przynależać. Możemy przeżywać przynależność formalnie (a wówczas przynależymy, ale tak naprawdę niemal się dusząc) albo też możemy przynależać ze świadomością, że przynależność jest wyzwoleniem, że jest największym dobrem, a wówczas nie bronimy się przed przynależnością, ale jesteśmy wdzięczni za to, że mamy dom, do którego możemy przynależać.

Wypowiedź. W trzecim rozdziale książki *Chrześcijaństwo jako wyzwanie* ksiądz Giussani mówi: „Nie

jest już najważniejszy wysiłek inteligencji i twórczej woli, zmęczonej wyobraźni, jakiegoś zagmatwanego moralizmu: lecz najważniejsze jest proste rozpoznanie; zachowanie analogiczne jak u kogoś, kto widząc nadchodzącego przyjaciela, rozpoznaje go wśród wielu innych ludzi i go pozdrawia” (L. Giussani, *Chrześcijaństwo jako wyzwanie. U źródeł chrześcijańskiego roszczenia*, tłum. D. Chodyniecki, Poznań 2002, s. 48). W tej analogii najpiękniejszym i wyjaśniającym doświadczeniem tej radykalnej zmiany metody jest to, co mnie i mojej żonie przydarzyło się i wciąż się przydarza w doświadczeniu przyjmowania dzieci. Gdy patrzy się na naszą historię, widać, jak jest możliwa relacja z tajemnicą życia, tajemnicą, która weszła do naszego domu. Mam dwoje dzieci: 10-letniego adoptowanego syna i 5-letnią rodzoną córkę. Każde z nich pojawiło się w wyniku szczególnych historii i okoliczności, całkowicie odmiennych od naszej konstruktywnej woli, którą mieliśmy, pobierając się i wyobrażając

„Nie przydarzyło mi się to samo, co tobie, ale dotyczy mnie ten sam, identyczny, co twój, dramat: muszę pozwolić, by objął mnie Ktoś Inny. (...) Nie zostałem zraniony w taki sposób, ale dotyczy mnie ten sam, co twój, dramat!”

sobie to, jak mogło potoczyć się i zrealizować nasze małżeńskie życie, nasze powołanie. To nie my wyznaczamy naszą drogę, ale to Tajemnica nawiedziła i nawiedza nasz dom za pośrednictwem naszych dzieci. Przede wszystkim dlatego, że one są. Pewnego dnia mój syn wybuchnął, mówiąc mi: „Sam spróbuj być adoptowany. Jak to sobie wyobrażasz? Ja zastanawiam się nad tym codziennie: dlaczego przydarzyło się to właśnie mnie?”. I zrozumiałem, że podobna rana nigdy nie będzie mogła się zagoić, może być tylko przygarnięta. Ten epizod przyparł mnie do muru, zmuszając do stanięcia wobec oczywistości, że to nie ja jestem rozwiązaniem dramatu życia mojego syna, ani on

mojego, i że jego godności nie definiuje to, co mu się przydarzyło, on jest czymś o wiele więcej. Jego godność definiuje relacja z Tajemnicą, która go chciała, i to samo dotyczy mnie.

Wraz z moją żoną spotykamy się z innymi rodzinami, by sobie towarzyszyć, i właśnie wychodząc od prowokacji mojego syna, chciałbym prosić cię o pomoc. Wydaje mi się ważne to, by pytania wyłaniające się podczas podążania tą drogą nie były pospiesznie zamykane w poszukiwaniu najlepszego rozwiązania, ale żeby pozostawały otwarte. Czasem dzieje się tak w relacjach z psychologami albo specjalistami, do których słusznie oczywiście należy się zwracać, by znaleźć najbardziej odpowiedni sposób stawienia czoła szczególnym sytuacjom. Istnieje jednak ryzyko wyręczania się innymi w odkrywaniu znaczenia tego, co się wydarza, ryzyko, >>

» że nie uda nam się zrozumieć. Co znaczy, że nie redukuje się pragnienia, o którym mówiłeś podczas Rekolekcji Bractwa, że nie znieczuła się doświadczenia bólu albo niepowodzenia?

Ks. Carrón. Co pomaga wam nie redukować? Pytanie syna: „Ale dlaczego przydarzyło się to właśnie mnie?”. Spróbuj odesłać go do jakiegoś specjalisty, by odpowiedział mu na to pytanie... To jest pytanie płynące z wnętrza. Na to pytanie nie możemy odpowiedzieć po prostu przy pomocy jakiejś instrukcji obsługi; trzeba się utożsamiać, trzeba towarzyszyć mu w tym jego doświadczeniu. Słuchając tego pytania, zadałem sobie pytanie: jaka jest różnica między nim a mną (ja nie zostałem adoptowany)? Staje wobec tego samego, co mój, dramatu, który polega na przyjęciu Drugiego, który mnie uczynił. Wszyscy mamy tę potrzebę, a prawdziwa walka, prawdziwy dramat nie polega na tym, czy zostało się adoptowanym czy nie; prawdziwy dramat polega na tym, że każdy z nas musi się konfrontować, każdego dnia, w każdej chwili musi odpowiadać na to pytanie, ponieważ alternatywą jest albo samowystarczalność, albo bycie przygarniętym, bycie objętym. A ponieważ wiele razy – ze względu na naszą kulturę oraz nasz upór i głupotę – uważamy, że lepsza jest samowystarczalność – ponieważ mamy skłonność do zrywania więzi, łudzimy się, że byłibyśmy bardziej sobą, gdybyśmy nie zależeli – musimy pogłębiać nasze doświadczenie.

By wejść w relację z pytaniem naszych dzieci, nie możemy uciekać się tylko do jakiejś instrukcji, ale współdzielić do końca ten dramat. Tam wyłania się to, co stanowi trudność dla nas i dla niego. Ponieważ on może wykorzystać tę sytuację, by powiedzieć „nie” (szukając niemal jakiegoś usprawiedliwienia tego, że został adoptowany). My jednak, kiedy mówimy „nie”, dlaczego tak mówimy? Wiele razy nasze dzieci albo osoby, które zostały mocno zranione, myślą, że to może zaoszczędzić im dramatu życia, dramatu decydowania w obliczu ostatecznej Tajemnicy istnienia. A czy my możemy im tego zaoszczędzić przy pomocy jakiejś techniki? Wiele razy zdarza mi się mówić: „Zobacz, nie przydarzyło mi się to samo, co tobie, ale dotyczy mnie ten sam, identyczny, co twój, dramat: muszę pozwolić, by objął mnie Ktoś Inny”. W istocie, na czym polega niebezpieczeństwo? Na utożsamianiu całego dramatu życia z tym zranieniem. Nie! Ja nie zostałem zraniony w taki sposób, ale dotyczy mnie ten sam, co twój, dramat! Jeśli nie pomożemy im uczynić tego kroku, cały odczuwany przez nie dyskomfort będzie wiązał

się tylko z tym konkretnym aspektem. A to nie jest prawda, to nie jest prawda, ponieważ my – którym nie zostało zadane takie cierpienie – stajemy wobec tego samego dramatu, i nikt nie może go za nas rozwiązać, żaden specjalista: to jest tajemnica „ja”, które nie może zostać zredukowane – jak widzimy – ponieważ dramat każdego z nas, z racji tego, że jesteśmy ludźmi, polega na odpowiadaniu na niego.

Ostatnio jechałem w Mediolanie taksówką (rzadko mi się to zdarza) i trafił mi się taksówkarz „teolog”. Czytał książkę teologiczną, a więc przejechaliśmy całą drogę, rozmawiając o tych sprawach. W pewnym momencie zaczęliśmy rozmawiać o wolności: był zgorszony tym, że niektóre rzeczy dzieją się dlatego, że Bóg dał człowiekowi wolność. Na co ja mu mówię: „A czy pan woli żonę, która kocha pana dobrowolnie, czy też – by nie ponosić ryzyka – mechanicznie? – Wolę żonę, która kocha mnie dobrowolnie. – Myśli pan więc, że Bóg ma gorszy gust od pana?”. To znaczy: Tajemnica mogła stworzyć inne wróble, które śpiewałyby inaczej, albo inne psy, które czekałyby inaczej, jest to jednak coś zupełnie innego niż stworzenie człowieka, który w sposób wolny mówiłby Jej „tak”. Dlatego Tajemnica stworzyła człowieka, ryzykując jego wolność, ponieważ „tak” człowieka jest warte całego Wszechświata. Coś zupełnie innego niż mechaniczne „tak”! Jeśli tego nie zrozumiemy, uważamy, że dramat, który jest najpiękniejszą rzeczą w życiu (to, że można powiedzieć „tak” Chrystusowi, można powiedzieć „tak” osobie, którą się kocha, powiedzieć „tak” twojemu ojcu albo dziecku),

„Jeśli nie pomożemy dziecku zrozumieć, że (...) nie definiuje go jego historia, jego zranienie, ale że teraz, niezależnie od tego, co się wydarzyło, w tej chwili może powiedzieć «ty» Tajemnicy (...) – redukujemy pytanie”.

tak naprawdę jest czymś, czego lepiej byłoby sobie zaoszczędzić. I nasze dzieci mają tę mentalność. Jeśli nie pomożemy im zrozumieć, że dramat jest najpiękniejszą rzeczą, jaka jest, i że dziecka nie definiuje jego historia, jego zranienie, ale że teraz, niezależnie od tego, co się wydarzyło, w tej chwili może powiedzieć „ty” Tajemnicy, może powiedzieć dziewczynie, w której się zakocha, że ją kocha (żadne zranienie nie może mu w tym przeszkodzić i żaden brak zranienia nie zaoszczędzi mu tego) – redukujemy pytanie. Redukowanie pytania, redukowanie dramatu oznaczałoby jednak budowanie świata, w którym być może nie byłoby zła, które tak wiele razy budzi w nas strach i sprawia nam ból, byłby to jednak świat całkowicie tamszący, bez możliwości powiedzenia, nawet z płaczem, przepelnieni cierpieniem własnej niezdolności: „Kocham cię” (ponieważ człowiek zdaje sobie sprawę z niestosowności tego, co mówi, w stosunku do tego, co jest w stanie zrobić), niemal błagając o to, by mógł to zrobić, po-



Jean-François Millet, *Zupa*, 1861. Marsylia, Muzeum Sztuk Pięknych

nieważ jeśli człowiek mówi to z całą świadomością swojej niezdolności, nie może powiedzieć tego inaczej, jak tylko w formie błagania: „Chciałbym kochać cię tak, jak kocha cię Bóg”. A więc problem polega na tym, jak wprowadzić dzieci w tajemnicę życia.

Wypowiedź. Jesteśmy małżeństwem od pięciu lat. Zaraz po ślubie pragnęliśmy, by nasza rodzina się powiększyła, a więc od razu zaczęliśmy starać się o dziecko, które jednak się nie pojawiało. Moja żona bardzo cierpiała z tego powodu. Wówczas zaproponowałem jej odprawienie nowenny do świętego Ryszarda Pampuriego, z prośbą o dar dziecka. Pewnego wieczoru, po jednej z tych co zwykle kolacji z naszymi najlepszymi przyjaciółmi, gdy piliśmy kawę,

siedząc na kanapie, powiedzieli nam: „Jest 2-letnia dziewczynka, którą trzeba się zaopiekować w sobotę, a być może również w niedzielę. Co wy na to?”. Pamiętam zdumienie, jakie nas ogarnęło wobec tej niespodziewanej propozycji, ponieważ myśleliśmy, że zanim można się kimś zaopiekować, trzeba stać się specjalistami, to znaczy trzeba mieć swoje dziecko, nauczyć się, jak to się robi, tymczasem my byliśmy małżeństwem zaledwie od sześciu miesięcy. Lecz tak naprawdę by kogoś przyjąć, trzeba po prostu doświadczyć tego objęcia na sobie, a to było to, czego doświadczyliśmy w tej przyjaźni. Dlatego powiedzieliśmy „tak”. Zresztą tamtego wieczoru, gdy wracaliśmy do domu, przypomnieliśmy sobie, że niedawno skończyliśmy nowennę, i chciało nam się śmiać z całej sytuacji. Byliśmy też porusze- >>



Honoré Daumier, *Pierwsza kąpiel*, 1852–1855. Kolekcja prywatna

» ni, ponieważ była to odpowiedź na to, o co prosiliśmy, nawet jeśli nie była ona taka, jak to sobie wyobrażaliśmy. Tak zaczęliśmy być ojcem i matką nie dla naszego rodzzonego dziecka. To doświadczenie przyjęcia dziecka przyniosło dobro naszej rodzinie, dlatego zdecydowaliśmy, że pozostawimy otwarte drzwi naszego domu, a ponieważ mieszkaliśmy w bardzo małym mieszkaniu, postanowiliśmy przenieść się do innego, gdzie moglibyśmy przyjąć kogoś na stałe. Podczas przeprowadzki, zasygnalizowano nam potrzebę przyjęcia 19-letniego chłopaka, który pomógł nam się przeprowadzić. Wciąż z nami mieszka. Po czterech miesiącach od jego przybycia zgłoszono potrzebę przyjęcia 8-letniego dziecka, dotkniętego od urodzenia paraliżem kończyn dolnych i górnych. My w tamtym czasie byliśmy bardzo uważni na zgłaszane potrzeby, kiedy jednak pojawiła się ta, pozwoliliśmy jej nieco przejść obok: „To nie dotyczy nas”. Po kilku dniach znów pojawia się zgłoszenie. W ten sposób powiedzieliśmy „tak”. I tamto dziecko przybyło do naszego domu (który zmieniliśmy w międzyczasie na jeszcze większy, by mieć pokój również dla niego). Temu, kto pyta nas, jak podjęliśmy decyzję, by powiedzieć „tak”, odpowiadamy, że za każdym razem ulegaliśmy oczywistości: że to, co się wyda-

rzało, było dla nas dobre. Stokroć nie jest żadnym żartem, ale jest tu i teraz, ponieważ 3 grudnia ubiegłego roku przyszedł na świat nasz pierwszy rodzony syn. Gdy tylko odkryliśmy z żoną, że spodziewa się dziecka, oprócz odczuwanej wdzięczności oczywiście, powiedzieliśmy też sobie, że nie byłoby to samo, gdyby to dziecko pojawiło się od razu, tak jak my to sobie wyobrażaliśmy, i że wszystko to było sto tysięcy razy piękniejsze, niż moglibyśmy to sobie wyobrazić.

Ks. Carrón. Dziękuję.

Wypowiedź. Zadam ci pytanie w nawiązaniu do tej ostatniej wypowiedzi, ponieważ ich „tak” zrodziło wiele innych „tak” wokół, tak jak wydarza się to bardzo często, ponieważ w gruncie rzeczy jest to zaraźliwe i przechodzi z rodziny na rodzinę. Czym jest ten wymiar wdzięczności oraz przyjęcia? Gdzie się zakorzenia? W jaki sposób trwa? Czasem jesteśmy zdolni zredukować nawet ten wymiar! Jak zostało powiedziane wcześniej, może stać się on brawurą. I jeszcze jedna rzecz, która wydaje mi się, że jest z tym związana. Przypomniałeś, że dziewictwo jest odwróceniem tej, co zwykle relacji: do Boga nie dociera się poprzez stworzenie, ale *primum*, tym,

co przeważa, jest Chrystus we mnie, Chrystus w historii, Chrystus w świecie, tajemnica Królestwa Bożego. To przeważa i poprzez to człowiek widzi wszystko i wszystko zostaje odzyskane w jedności, której w przeciwnym razie by nie było.

Ks. Carrón. Tym, co może dać początek oraz utrzymać ten wymiar wdzięczności oraz przyjęcia, jest chrześcijańskie spotkanie, ponieważ również cała nasza, choć naturalna, otwartość, jeśli nie jest nieustannie rozbudzana, zanika. Dlatego nie ma innego sposobu na to, by zrozumieć, jaka jest natura tej wdzięczności, tego przyjęcia, jak nie ciągle powracanie do lektury rozdziału o miłości (caritas) w książce *Czy można tak żyć?* (Kraków 2009, s. 321–353), ponieważ tam znajdujemy całą koncepcję oraz doświadczenie tego, co Bóg uczynił, by zakomunikować naturę Bytu, naturę tej wdzięczności. Wszystko rodzi się, wszystko bierze początek w tej bezkresnej darmowości Tajemnicy. A jak ksiądz Giussani przechodzi od tej darmowości Tajemnicy do naszej darmowości? To jest jeden z najpiękniejszych aspektów tego rozdziału. Co takiego bowiem wydarza się wielokrotnie? Otóż ktoś mówi: „W porządku, to czyni Bóg. Teraz muszę to zrobić ja”, jak gdyby darmowość rodziła się z innego początku, jak gdyby rodziła się z mojego usiłowania, z mojej siły, z mojej zdolności. Ksiądz Giussani tworzy jednak naprawdę arcydzieło, pokazując, jak nadobfitość tego komunikowania się Boga rodzi w nas tak spektakularne doświadczenie, że także nas uzdalnia ono do tej darmowości. To tylko pod presją wzruszenia tym, co otrzymaliśmy, możemy obdarzać drugiego spojrzeniem pełnym darmowości oraz akceptacji. To może być jednak zredukowane do lekcji, której człowiek się wyuczy, a potem ostatecznie punktem wyjścia nie jest doświadczenie tego, ale coś zupełnie innego. Wówczas, jeśli zmienia się punkt źródłowy, powstaje swojego rodzaju dualizm: z jednej strony mówię coś słusznego, ale potem punkt źródłowy mojego działania znajduje się gdzie indziej. A po czym widać, że punkt źródłowy jest inny? Po tym, że znika, że się męczymy. Ponieważ my nie jesteśmy w stanie wygenerować tej darmowości. My dajemy tylko to, co otrzymujemy, to, co wylewa się z naszego serca z tego, co Tajemnica daje nam nieustannie. Dlatego nie będąc zakorzenieni w chrześcijańskim doświadczeniu, w wierze, w uznaniu nadzwyczajnej Obecności, która wzbudza w nas całą nadzieję, która napełnia nas tym wzruszeniem, tą przeogromną miłością (caritas), prędzej czy później – jak możecie to zobaczyć wiele razy, patrząc

na swoje doświadczenie – nic nam nie wystarcza, nic nie pozwala nam zacząć na nowo. Powrócić do tego punktu źródłowego – to wielka życiowa kwestia. Możemy doświadczać życia, wychodząc, w gruncie rzeczy, od zmysłu religijnego, od pewnego braku, a wówczas również w przyjmowaniu dzieci poszukujemy sposobu zapełnienia tego braku. Uprzedzam was jednak, że jest to nie tylko błędne, jest gorzej niż błędne – jest bezużyteczne. Nawet jeśli przyjmiecie wszystkie zagubione dzieci świata, nie będziecie mogli zapełnić pragnienia nieskończoności, jakie odczuwa wasze serce. Wszystko jest bardzo malutkie w stosunku do predyspozycji duszy. To musi być jasne, ponieważ w przeciwnym razie przyjmowanie dzieci redukuje się do usiłowania rozwiązania osobistego, nierozwiązywalnego, problemu. Nie rozwiązanie go w ten sposób, co więcej, skomplikujecie go, jeśli tego nie zrozumiecie. Ponieważ nie chodzi o to, by dziecko zapełniło dziurę, pustkę. Nie zapełni jej, tak jak nie zapełnił jej mąż czy żona i jak nie

zapełniły rodzone dzieci – nikt jej nie zapełni, ponieważ taka jest natura naszego pragnienia, to jest natura wymogu, który jest. Jeśli nie wydarzy się coś innego, jeśli nie wydarzy się spotkanie z Tym, który odpowiada, punktem wyjścia, nawet jeśli jesteśmy chrześcijanami (my wszyscy tutaj jesteśmy chrześcijanami), znów jest zmysł religijny, czyli nasze usiłowanie. A potem się denerwujemy, ponieważ to nie wystarcza.

Tymczasem to, co może zrodzić się z chrześcijańskiego doświadczenia (kiedy punkt źródłowy jest identyczny z faktem Chrystusa), istnieje – jak mówił zawsze ksiądz Giussani – ponieważ opieramy się na pełni. Tajemnicy nie brakowało

niczego, kiedy nas stworzyła: „Ja to szczęście, które przeżywam w Tajemnicy Trójcy, tę pełnię, pragnę komuś zakomunikować”. Dobro ze swojej natury rozprzestrzenia się. Wówczas Bóg stworzył nas, by móc współdzielić tę pełnię, tę nadobfitość życia pełnią, którą żyje On; po to nas stworzył. Stworzył nas z tym przeogromnym pragnieniem właśnie po to, by wypełnić je swoją obecnością oraz swoim współdzieleniem tej pełni. A więc tylko On może zaspokoić pragnienie i tylko jeśli tego doświadczamy, możemy żyć, opierając się na pełni, a więc wchodzimy w relacje ze wszystkim (również z przyjętymi dziećmi) nie dlatego, że czegoś nam brakuje, ale ze względu na pragnienie współdzielenia z drugim tego, co otrzymaliśmy. Oto to, co wprowadza dziewictwo do historii. To jest dziewictwo: że Bóg poprzedza to doświadczenie w historii. Im bardziej wchodzimy w relację z rzeczywistością, tym bardziej się za- >>

„I nie jest to problem moralizmu (...), ale jest to problem wiary. Nie mylmy tego: (...) problem polega na tym, że doświadczamy w sposób żywy Chrystusa po to, by nie musieć poszukiwać satysfakcji tam, gdzie poszukują jej wszyscy”.

» kochuję w jakiejś osobie i tym bardziej staję się świadomy, że ona jest całkowicie niezdolna odpowiedzieć na składaną obietnicę, i dlatego się żenię, ponieważ to jest wielka możliwość, która może odesłać mnie gdzie indziej, która może odesłać mnie do Tajemnicy. Nikt nie rzucił ci większego wyzwania niż mąż albo żona, nikt inny nie złożył ci tak potężnej obietnicy. Dlatego też pozwolił ci pojąć całe odczuwane przez siebie pragnienie pełni, a jednocześnie pozwolił ci pojąć, że nie jest w stanie go zaspokoić, on czy ona. To jest powszechny sposób, mówił ksiądz Giussani – za pośrednictwem męża albo żony otwierasz się na Tajemnicę. Jezus jednak zapoczątkował w historii inną drogę. Są chłopcy i dziewczęta, którzy być może są zakochani, mają narzeczonego albo narzeczoną i odczuwają ogrom Obecności, obecności Chrystusa, która wypełnia ich tak bardzo, jest tak przeważająca, że każe im powiedzieć: „To jest wszystko”. A wówczas czują się wolni w relacji z drugim i mówią: „Ja oddam Mu całe moje życie”. Powołanie do dziewictwa jest formą, którą Tajemnica posługuje się, by zaświadczyć wszystkim, że tym, ze względu na co się urodziliśmy i ze względu na co warto się pobierać i mieć dzieci, i ze względu na co warto pracować, jest Chrystus – Chrystus jest tym, co przeważa i co jest w stanie zapełnić życie. I kiedy ktoś żyje w ten sposób, żyje tak nie dlatego, że jest do tego zdolny, ale ponieważ narzuca mu się Tajemnica... Chciałbym, by dane wam było zobaczyć młodych ludzi, w których kiełkuje możliwość powołania do dziewictwa – to jest doświadczenie potęgi Obecności, która czyni ich wolnymi, która czyni ich całkowicie zdominowanymi przez Chrystusa. Gdyby zdarzyło się wam zobaczyć kiełkowanie w kimś tego rodzaju powołania, moglibyście zrozumieć, co oznacza przeżywać życie, wychodząc od tej pełni. Wydaje mi się, że jest to ważne nie tylko dla tych, którzy są wezwani do dziewictwa; w istocie, za pośrednictwem ich wszystkich my jesteśmy wezwani do przeżywania tego doświadczenia pełni, po to by móc odnosić się do rzeczywistości w sposób bezinteresowny. Bez tego nieuniknienie poszukujemy korzyści w relacji z rzeczywistością, z osobami, z dziećmi (adoptowanymi albo rodzonymi), i to nie przez złośliwość – uwaga – ale ponieważ jest to nieuniknione. Dlatego też, w istocie, ze względu na to, że odczuwamy to ogromne pragnienie pełni, alternatywą nie jest staranie się o bycie porządnymi ludźmi, powstrzymanie się nieco, hamując pragnienie (ponieważ ono nie prowadzi nas do czynienia tego, co niesłuszne). Bezużyteczne jest to moralistyczne

usiłowanie powstrzymywania pragnienia. Jest bezużyteczne, ponieważ wiemy, że go nie powstrzymamy. Jedyną adekwatną odpowiedzią jest wiara, czyli tak bardzo pozytywne doświadczanie odpowiedzi na pragnienie, że czyni mnie ono zdolnym do odnoszenia się do wszystkiego w sposób darmowy. Jeśli pamiętacie fragment książki *Czy można tak żyć?*, w którym ksiądz Giussani mówi o ubóstwie, mówi tam, że relacja z Chrystusem czyni możliwym dla człowieka doświadczenie tak pełne, że może on odnosić się do rzeczy w sposób wolny i z wdzięcznością, ponieważ niczego mu nie brakuje. Nie chodzi o to, że jestem ubogi, ponieważ nie mogę być bogaty, nie jest to też kwestia ascezy. Nie, jestem ubogi, ponieważ niczego mi nie brakuje. To jest prawdziwe ubóstwo. Prawdziwa relacja z osobami, która rodzi się z chrześcijańskiego doświadczenia, nazywa się dziewictwem (wobec rzeczy – ubóstwem; wobec osób – dziewictwem): będąc tak pełnymi, opierając się na pełni, możemy odnosić się w sposób darmo-

„Cud przynosi ten wstrząs samoświadomości, jeśli jednak nie jest on początkiem drogi, która ma uczynić bliskim takie spojrzenie na własne «ja», nawet gdy wydarza się cud, powraca się do wcześniejszego położenia”.

wy do wszystkiego i do wszystkich. Pod presją tego poruszenia ogromną miłością (caritas) Tajemnicy wobec każdego z nas odkrywamy, że z drugim pozostajemy w relacji wolnej, darmowej, bez roszczeń, bez pokusy zawłaszczania czy też hegemonii. I to jest inny świat na tym świecie. Dlatego kiedy ktoś dotyka go dłonią, kiedy ktoś przez przypadek dotyka lekko „płaszcz” takiego doświadczenia, może tylko zostać porwany przez ten świat, może tylko zostać mu rzucone wyzwanie, musi pojawić się ochota, by go pragnąć. Wówczas wymiar darmowości staje się pożądanym, nie ze względu na woltaryzm, nie ze względu na to, że porządni z nas ludzie, nie po-

to, by być spójnymi, ale by nie stracić tego, co najlepsze, by nie stracić możliwości przeżywania życia z tą nadobfitością. W przeciwnym razie ulegamy logice wszystkich, to znaczy szukamy satysfakcji tam, gdzie poszukują jej wszyscy.

Dlatego to, co napisałem na łamach dziennika „La Repubblica”, dotyczy wszystkich, ponieważ możemy kierować się tą samą logiką, nawet jeśli sposób, w jaki ją przeżywamy, może być odmienny, logika jest jednak taka sama. I nie jest to problem moralizmu (nie stawać na wysokości zadania), ale jest to problem wiary. Nie mylmy tego: to jest problem naszego doświadczenia wiary. Problem polega na tym, że doświadczamy w sposób żywy Chrystusa po to, by nie musieć poszukiwać satysfakcji tam, gdzie poszukują jej wszyscy. Jeśli my nie doświadczamy, nie możemy tego usprawiedliwiać, ale musimy rozważyć, czy byliśmy wierni początkowi tego, co nam



Jean-François Millet, *Karmiąca wieśniaczka*, 1845. Paryż, Luwr

się przydarzyło, ponieważ problem stanowią wiara i nadzieja oraz miłość (caritas), a nie moralizm.

Wypowiedź. Jesteśmy małżeństwem od 12 lat i mamy trzy córki, w tym bliźniaczki. Jedna z bliźniaczek jest poważnie upośledzona, jest to jednak bardzo wrażliwa i inteligentna dziewczynka. Od pierwszych dni, pośród zagubienia i niepokoju, było dla nas jasne, że jest ona dla nas niewyobrażalnym darem i że zawiera w sobie w tajemniczy sposób wielką okazję dla naszego życia. Mówiliśmy sobie: wobec córki, która ma tak poważne problemy, albo spotkanie z Chrystusem, wiara, jest ostatecznie oszustwem, albo musi być możliwość dobra, jakiegoś „więcej”, które musimy odkryć. Przyjaźń oraz współdzielenie życia z Famiglie per l’Accoglienza wychowało i wciąż wychowuje nas do tego, by nie pomniejszać pragnienia szczęścia naszego oraz naszych córek. I to jest codzienne wyzwanie, za pośrednictwem którego możemy uznać wielkość miłości Chrystusa do naszego życia.

Ks. Carrón. Dziękuję.

Wypowiedź. Widzę, że od momentu założenia rodziny do dzisiaj zmieniałam się, z czasem bowiem

wzrosła pewność, że to jest miejsce, w którym pragnienie szczęścia, które odczuwa moje serce, otwiera się na spełnienie. To prawda, że moje życie zmieniło się również ze względu na zajmowanie się dziećmi, które wymagały intensywnej opieki, przede wszystkim jednak zmienił się sposób, w jaki mówię „tak”, ponieważ w mojej historii Chrystus stał się atrakcyjny w teraźniejszości poprzez nową jedność z moim mężem oraz poprzez przyjęcie moich dzieci (mam dwoje dzieci adoptowanych), bycie otwartą szeroko na rzeczywistość taką, jaka ona jest, na nowość, ze względu na świadomość początku. Cierpienie w moim doświadczeniu jest tym, co pozwoliło mi i pozwala zbliżyć się do rzeczywistości oraz do prawdy faktów, by je kochać. Gdybym chciała być w rzeczywistości, nie odczuwając bólu, jak mogłabym ją poznać, jak mogłabym być bardzo blisko moich dzieci? W aktualnej rzeczywistości odczuwam jednak głuchy i nieustanny ból, stając w obliczu obrażenia człowieczeństwa moich dzieci, jednocześnie jednak doświadczam pokoju, ponieważ nauczyłam się prosić o przebaczenie zła, które zostało im wyrządzone. Stwierdzając, że doświadczenie cierpienia jest i służy dobru, chcę powiedzieć, że nie uchylając się od niego, przeżywam towarzystwo osób, które kocham, w głębi spotkania z Chrystusem. Pośród >>



Jean-François Millet, *Rodzina wieśniaków*, 1870–1872. Cardiff, Walijskie Muzeum Narodowe

>> cierpienia spotkałam najdroższych przyjaciół i odbudowałam bardzo dla mnie ważne relacje rodzinne. Moje dzieci są nieustannym przywołaniem do modlitwy, do przyjaźni z Chrystusem; dzięki nim wzmocniła się moja miłość do charyzmatu księdza Giussaniego oraz moja prośba o przyjaźń w tym towarzystwie. Cierpienie jest okazją pozostawania na stanowisku tego, kto patrzy na krzyż i ma pewność co do Zmartwychwstałego. Co powiedzieć o naszym

cierpieniu w przyjmowaniu dzieci oraz o cierpieniu naszych dzieci? Czasem ktoś ugina się pod tym ciężarem: co pozwala doświadczać krzyża oraz smutku tak, by nie czuć się potrzasku?

Ks. Carrón. W tych pytaniach wszyscy możemy namacalnie dotknąć tego, o czym mówiliśmy wcześniej: że nie może istnieć jedna odpowiedź na te pytania, która mogłaby zrodzić się z naszej zdolności,

właśnie dlatego, że tutaj chodzi o naszą niezdolność. I im bardziej dramatyczna jest sytuacja, tym większe jest cierpienie, im większe jest zranienie dzieci, tym lepiej widzimy i pojmujemy naszą niezdolność. To może nas wprowadzić w prawdziwe rozumienie znaczenia Chrystusa: Tajemnica zapragnęła związać się z nami, by współdzielić do końca to cierpienie, aż po śmierć, by móc nas od niego uwolnić. Pan łączy nas w swoje doświadczenie i, ponieważ On przeżył je jako pierwszy, może stać się towarzystwem, które naprawdę uzdalnia nas – w naszej niezdolności – do przejścia przez nie. A to mówi nam, jakiego towarzystwa potrzeba pośród nas, ponieważ nie może go zastąpić jakieś stowarzyszenie, jakie by ono nie było, czy też specjaliści. Dotykamy ostatecznej głębi ludzkiej egzystencji, której można stawić czoła tylko wtedy, gdy nie redukuje się Chrystusa. Jak utwierdza w tym początek książki *Chrześcijaństwo jako wyzwanie*, tylko pełne fascynacji i czułości spojrzenie na naszą potrzebę może sprawić, że Chrystus nie będzie redukowany do samego tylko imienia. Nie wiemy, dlaczego istnieje cierpienie, na które Pan przyzwala, byśmy go doznawali; możemy natomiast być pewni, że nie jesteśmy sami w tej sytuacji, ale że ktoś nam towarzyszy. Podczas Rekolekcji Bractwa mówiliśmy: nie cud, ale droga. My często chcielibyśmy cudu, który rozwiązałby wszystko. Tydzień temu, podczas wykładu na Uniwersytecie Katolickim, musiałem wyjaśnić dziesiąty rozdział *Zmysłu religijnego* (L. Giussani, *Zmysł religijny*, tłum. K. Borowczyk, Poznań 2000, s. 161–174). Wszyscy pamiętamy początkowy obraz: gdybyśmy urodzili się w tym momencie ze świadomością człowieka 20-letniego, w pierwszej kolejności doświadczylibyśmy zdumienia rzeczywistością. Tuż po zakończeniu pierwszej godziny zajęć, podczas przerwy, do katedry podchodzi chłopak, który mi mówi: „Rozumiem to doskonale, ponieważ miałem wypadek motocyklowy w ubiegłym roku, z którego ocalałem w cudowny sposób. Kiedy budziłem się rano, byłem tak bardzo wzruszony tym, że żyję, że łatwiej przychodziło to zdumienie. Ja nie muszę «wyobrażać» sobie tego, co mówi ksiądz Giussani – ja to przeżyłem, a życie jakby zostało mi dane po raz drugi. Dzisiaj jednak obudziłem się roztargniony, dzisiaj – tak jak podczas wielu innych dni – po tym, jak tamta chwila się zatarła, powróciłem do dawnego rozproszenia, do tego zredukowanego spojrzenia na moje «ja» i na rzeczywistość”. To jest najlepszy przykład na to, co mówi ksiądz Giussani: nie wystarczy cud, ponieważ jemu przydarzył się cud, bez drogi jednak powraca wcze-

„Jesteśmy prawdziwym towarzystwem, jeśli definiuje nas nieustannie plan Drugiego, jeśli odpowiadając na potrzebę, jesteśmy posłuszni Tajemnicy (...). Uznanie dla nas samych albo dla Drugiego – to jest życiowy wybór”.

śniejście niezadowolone. Dlaczego? Ponieważ cud przynosi ten wstrząs samoświadomości, jeśli jednak nie jest on początkiem drogi, która ma uczynić bliskim takie spojrzenie na własne „ja”, nawet gdy wydarza się cud, powraca się do wcześniejszego położenia. Czasem wydaje nam się, że jesteśmy bardziej inteligentni od Tajemnicy, myślimy, że byłoby łatwiej, gdyby Tajemnica natychmiast uczyniła dla nas cud. Czasem (tak jak w przypadku tego studenta) Ona pozwala nam go doświadczyć. I co pokazuje w ten sposób? „Widzisz? Dałam ci cud. A teraz, co ci z niego bez drogi?”. Nie wystarczy. Nie wystarczy, jeśli nie ma drogi, podczas której zdumienie cudem nie stanie się naszym jako sposób posługiwania się rozumem, jako sposób odnoszenia się do rzeczywistości. Sam cud nie wystarczy. Rozumiecie, dlaczego ksiądz Giussani mówi, że to jest „czas osoby” (por. *Świadomość siebie: punkt, w którym zaczyna się na nowo*, „Ślady” 2/2012, s. II). Żaden cud nie może zaoszczędzić nam drogi, którą każdy z nas musi przejść, aby to spojrzenie, którego czasem doświadczamy, stało się nasze. Tylko wtedy, gdy osoba wzrasta we własnej samoświadomości, to spojrzenie staje się jej spojrzeniem. Ta samoświadomość nie jest jednak owocem samego cudu. Cud jest wielką pomocą, jest bodźcem do drogi, nie może jednak stanowić dla niej alternatywy. Jeśli pojmujemy cud jako alternatywę drogi, z czasem znajdziemy się znów w punkcie wyjścia. To mówi nam o rodzaju pomocy oraz towarzystwa, jakim musimy dla siebie być, ponieważ bez towarzyszenia sobie na tym poziomie zaczynamy dźwigać ciężary, których nie jesteśmy w stanie unieść, jeśli na każde cierpienie i na wszystkie wyzwania, których Pan nam nie oszczędza, nie patrzymy odmiennym spojrzeniem. Kiedy Pan nam ich nie oszczędza, czyni tak dla czegoś więcej, dla dobra, ponieważ to uświadamia nam naszą prawdziwą potrzebę i uzdalnia nas do rozpoznania łaski tego, że On jest, że nie jesteśmy sami z naszą nicością, z naszym cierpieniem i naszymi dziećmi. Tylko wtedy, gdy zdamy sobie sprawę z tej ogromnej miłości (caritas) Tajemnicy wobec nas, wówczas naprawdę możemy czuć, że cała nasza potrzeba jest zaspokojona.

To jest dramat, któremu każdy z nas musi stawić czoła: wciąż otwierać się (niezależnie od bólu, cierpienia, położenia, rzuconego wyzwania) na tę niewyobrażalność, na tę dominantę, która wydarzyła się w naszym życiu. Życie jest łatwe. Gdy Chrystus się wydarzył, problem nie polega na powrocie do zmysłu religijnego i ponownym poszukiwaniu 20 tysięcy >>

» odpowiedzi, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Problem stanowi powrót do Chrystusa, który jest tym samym dramatem, który przeżywasz z żoną, z dwiema dziećmi. Nie musisz poszukiwać niczego innego, musisz się angażować za każdym razem, odpowiadając temu „ty”, które masz przed sobą. Ponieważ fakt spotkania Chrystusa nikomu z nas nie oszczędza pracy. My chcielibyśmy jednak czegoś automatycznego: „Spotkaliśmy już wielkie «Ty», a więc gra się skończyła”. Nie, nie skończyła się – gra się dopiero rozpoczyna! Muszę dziękować za Jego obecność każdego ranka w taki sposób, by nie był to sposób formalny. Chrystus nie jest czarodziejską różdżką, która mogłaby zaoszczędzić nam wyzwania. Nie! Czym byłoby życie, gdyby On wszystkiego nam zaoszczędził? Totalną nudą. Miejmy nadzieję, że nigdy tak nie będzie! Czasem bowiem tak wyobrażamy sobie życie wieczne – totalna nuda, gdzie nic się nie dzieje. Tymczasem istnieje możliwość, że wszystko zostanie wypełnione, możliwość powiedzenia „ja” z całym naszym wzruszeniem oraz powiedzenia Chrystusowi „Ty” z całym naszym wzruszeniem. I mam nadzieję, że będzie tak coraz częściej, w przeciwnym razie życie niszczy się. Tymczasem, jak powiedziałem podczas spotkania ze studentami z Uniwersytetu Katolickiego, możemy powiedzieć coś przeciwnego temu, co przydaje się wszystkim. W przypadku kogoś, kto nie spotkał Chrystusa, Eliot ma zupełną rację: „Gdzież jest ten Żywot utracony w życiu?” (T.S. Eliot, *Chóry z „Opoki”*, w: tenże, *W moim początku jest mój kres*, przełożył, komentarzami i przypisami opatrzył A. Pomorski, Warszawa 2007, s. 181). My jednak możemy powiedzieć, że przeżywając życie, zyskujemy życie! To jest sprawdzian wiary.

Wypowiedź. Zdając sobie sprawę z charakteru naszego Stowarzyszenia, z tego, że tworzą je rodziny, jak możemy sobie pomagać w stawianiu właściwych kroków, mając na uwadze podmiot, którym jesteśmy, cechy, które posiadamy, nie ulegając przy tym szaleństwu wykorzystywania okazji do tworzenia dzieła czy też pozwalając się owładnąć zaniepokojeniu o bycie obecnymi? Jak więc to towarzystwo, do którego teraz nas przywoływałeś, może i musi nam w tym pomagać? Mówiłeś, że musimy być lojalni w stosunku do samych siebie. Teraz zdaję sobie sprawę, że to, czego doświadczam w Famiglie per l’Accoglienza, przynosi mi korzyść.

Ks. Carrón. Możemy sobie pomagać tylko wtedy, gdy nasze towarzystwo jest prawdziwe, czyli jeśli pozwalamy się korygować nieustannie w każdym

usiłowaniu, jakie podejmujemy – gdyż każde usiłowanie, jak mówił ksiądz Giussani, jest usiłowaniem ironicznym – przez samo doświadczenie, ponieważ każde doświadczenie zawiera w sobie osąd. Co takiego pokazała nam już pierwsza wypowiedź dzisiaj? Że w usiłowaniu, które każdy z nas podejmuje osobiście albo które podejmuje Stowarzyszenie, jest się przede wszystkim lojalnym wobec swojej potrzeby. Jeśli coś nie układa się pomyślnie, jeśli jest coś, w czym lojalność zaczyna dawać znaki, jeśli zaczynają zapalać się kontrolne lampki, nie możemy upierać się, że wszystko jest w porządku. Wydaje się to banalne, ale często, zanim uznamy, że w naszym usiłowaniu coś jest nie tak, wcześniej wolimy umrzeć, tak bardzo jesteśmy dumni. Ksiądz Giussani napisał list do dziennika „La Repubblica”, kiedy Jan Paweł II z okazji Wielkiego Jubileuszu Roku 2000 poprosił w imieniu Kościoła o przebaczenie grzechów dotyczących kilku historycznych faktów. Wśród wielu przepięknych rzeczy, jakie w nim mówi, jedna uderzyła mnie bardziej niż jakakolwiek inna: „Chrześcijanin nie jest przywiązany do niczego innego za wyjątkiem Chrystusa” (L. Giussani, *Quella grande forza del Papa in ginocchio*, „La Repubblica”, 15 marca 2000, s. 16; tłum.: *Wielka siła Papieża na kolanach*, www.cl.opoka.org.pl). Zdanie to, wypowiedziane w ten sposób, może wydawać się szlachetne, pobożne (coż innego może powiedzieć ksiądz Giussani, będąc księdzem Giussanim?). Tymczasem nie. Stop! Właśnie dlatego, że nie jesteśmy przywiązani do niczego

„Jeśli człowiek odłączy się od źródła, zaczyna tracić to, co podtrzymywało go na początku. (...) Czego bowiem bezwzględnie potrzebujemy najwięcej? Szkoły Wspólnoty”.

innego, jak tylko do Jezusa, możemy uznać wszelką niedoskonałość w każdym ludzkim działaniu, nie musimy go bronić zaciekle (niemal jakby to było coś, co daje nam oddech w życiu). W istocie, posłuchajcie, co mówi zaraz potem: „Wszystkie ideologie posiadają pewien aspekt, wskutek którego człowiek jest pewnym przynajmniej jakiejś jednej rzeczy, którą sam tworzy, i nie jest w stanie z niej zrezygnować ani poddać jej w wątpliwość. Ale chrześcijanin wie, że jego wysiłki i wszystko, co posiada albo co czyni, zawsze muszą ustąpić prawdzie” (tamże). Dzieło podobne Stowarzyszeniu „Famiglie per l’Accoglienza” byłoby niemożliwe bez pragnienia zaangażowania wielu osób z ogromną bezinteresownością; jednak właśnie dlatego, że jest to ironiczne usiłowanie – i to daje nam ogromną wolność i oddech – nie zawsze jest doskonałe, co więcej, zawsze daje się skorygować, zawsze znajdziemy coś, co będzie wymagało dyspozycyjności do zmiany; to jest ironia, z którą musimy podchodzić do naszego życia oraz do rzeczywistości. Korygowanie się daje możliwość przemierzania drogi, przyzwalania na to,



Jean-François Millet, *Matka karmiąca dzieci*, 1850. Lille, Muzeum Sztuk Pięknych

by prowadziło nas to, co przynosi doświadczenie. A więc po czym poznać, że nie jesteśmy przywiązani do niczego innego, jak tylko do Jezusa? Po naszej zdolności przyznawania się, kiedy coś jest nie w porządku. W istocie, jaki pierwszy znak wydarzenia, jakie mu się przytrafiło, otrzymał Zacheusz? Zdolność do uznania błędu. Nie rozmyślał długo, po prostu Jezus był dla niego tak ogromną nadobfitością, że powiedział: „Mogę uznać, że również to jest błędem, nie definiują mnie już moje błędy, jestem zdefiniowany przez to przyłgnięcie do Niego, dlatego mogę uznać moje błędy bez problemu”. Pomaganie sobie w tym, według mnie, jest jedyną możliwością, by być prawdziwymi przyjaciółmi, by kochać prawdę tego, czym żyjemy we wspólnym usiłowaniu odpowiadania na potrzebę; w przeciwnym razie, w pewnym momencie nie wiemy, czy odpowiadamy naszemu pragnieniu bycia w centrum wydarzenia, po to by znaleźć satysfakcję, której nie znajdujemy tam, gdzie trzeba ją znajdować. I między jedną rzeczą a drugą, między pragnieniem odpowiadania na potrzebę w sposób darmowy, dziewiczy, jak mówiliśmy wcześniej, a pokusą odpowiadania na potrzebę ze względu na poszukiwanie osobistej satysfakcji, wszyscy wiemy, że granica jest cienka. Spójrzcie na pokusy, na jakie wystawiony był Jezus. Diabeł mówi

do Jezusa: „Spraw, by te kamienie stały się chlebem – rozwiążesz problem głodu” (por. Mt 4,3). Czy nie odpowiada to być może naprawdę potrzebie człowieka oraz chwale Jezusa? A więc dlaczego Jezus nie ulega i uznaje tę pokusę za pokusę? Ponieważ mogłoby to oznaczać poszukiwanie uznania dla siebie zamiast dla planu Ojca. Tę samą pokusę odrzucił potem w Piotrze, kiedy ten prosi Go, by zrezygnował z perspektywy męki: „Odejdź ode Mnie, ponieważ myślisz zgodnie z twoim planem, a nie z planem Drugiego” (por. Mk 8, 33). Problem polega na tym: jesteśmy prawdziwym towarzystwem, jeśli definiuje nas nieustannie plan Drugiego, jeśli odpowiadając na potrzebę, jesteśmy posłuszni Tajemnicy (i jeśli jesteśmy w stanie zrobić dwie rzeczy, zrobimy dwie, zamiast starać się, ze względu na uznanie dla nas, robić pięć; jeśli jednak możemy zrobić pięć rzeczy, nie robimy trzech z powodu lenistwa). Gdy dopuszczamy się jakichś oszustw, by osiągnąć cel naszego planu, jest to już sprawdzian tego, że nie jest to Boży plan, ponieważ jeśli Bóg zechce, by został osiągnięty właśnie ten cel, wówczas da nam do tego wszystkie potrzebne środki i narzędzia. Problem polega na czynieniu woli Boga, problem polega na podążaniu za Drugim zgodnie ze sposobem, jaki wyłania się z rzeczywistości. Wola Drugiego >>



Jean-François Millet, *Zimowy wieczór*, 1867. Boston, Muzeum Sztuk Pięknych

>> nie jest zdefiniowana przez nas, ale przez możliwości, w które wszystko inwestujemy i którym następnie jesteśmy posłuszni. Uznanie dla nas samych albo dla Drugiego – to jest życiowy wybór. Dlatego proszę was, byście mieli na uwadze tę wskazówkę, ponieważ jesteśmy razem, by pozwolić wzrastać osobistej odpowiedzialności. Jeśli natomiast, ze względu na nasze pragnienie współpracowania na rzecz określonych spraw, jesteśmy współwinni postępowania w jakiś określony sposób, potem znajdujemy się w kłopotach. Trzeba mówić „tak”, ze wszystkimi naszymi racjami, prosząc o to, by postępować we właściwy sposób, ponieważ to jest prawdziwa miłość do dzieł. Bo jeśli narazimy je na niebezpieczeństwo, robiąc coś nierzeczywistego albo nieostrożnego, narażamy na niebezpieczeństwo wszystko.

Powiem wam ostatnią rzecz: w sposobie postępowania nie pozwalajcie, by plan przeważał nad szerzeniem się Bożej bezinteresowności. Ponieważ jeśli przeniesiecie uwagę tylko na pewne aspekty związane z planem, nie znajdziecie potem pośród was towarzystwa, które byłoby autentyczną odpowiedzią na waszą samotność; wówczas będziecie bardziej zdolni do tego, by je realizować, wtedy jednak zacznie wysychać źródło waszego doświadczenia. To według mnie jest decydujące, ponieważ jeśli człowiek odłączy się od źródła, zaczyna tracić to, co podtrzymywało go na początku. Musimy prosić Maryję, by pomagała nam pozostawać związany-

mi nieustannie z początkiem. Czego bowiem bezwzględnie potrzebujemy najwięcej? Szkoły Wspólnoty. Bo jeśli sposób, w jaki żyjemy, cały nie jest nieustannie żywiony i korygowany przez Szkołę Wspólnoty (która jest najbardziej regularnym narzędziem, jakie posiadamy, by zmienić mentalność, by wprowadzić nową metodę, nową kulturę w sposób odnoszenia się do rzeczywistości), żaden inny gest nie będzie w stanie rozwiązać problemu. Nawet gdybyśmy zbierali się tutaj co trzy miesiące, byłoby to bezużyteczne. Kiedy byłem w Hiszpanii – opowiadałem już o tym przy innych okazjach – dwie osoby przyszły do mnie, prosząc mnie, bym udzielił im ślubu (od dwóch lat Szkoła Wspólnoty dotyczyła *Zmysłu religijnego*). W pewnym momencie zapytałem: „Czy nie sądzicie jednak, że uszczęśliwi was coś innego?!”. Powiedzieli mi bardzo zaskoczeni: „Dlaczego więc się pobieramy?”. A ja na to: „Dobre pytanie, mogliście zadać je sobie wcześniej”. Co zrozumiałem dzięki temu epizodowi? Dwa lata (dwa lata!) cotygodniowej pracy nad *Zmysłem religijnym* nie wprowadziły w nich poczucia Tajemnicy. I pomyślcie: czy uczęszczając na kurs przedmałżeński, składający się z pięciu spotkań, moglibyśmy zrobić wyłom w murze, którego nie tknęły dwa lata pracy nad *Zmysłem religijnym*? A więc nie pogłębiajmy nihilizmu, wykonując puste gesty. Nie możemy mieć innego, odpowiedniejszego, bardziej regularnego, łatwiejszego narzędzia od Szkoły Wspólnoty. A więc, przyjaciele, słuchajcie uważnie: róbcie Szkołę Wspólnoty!

S